Opłata pocztowa uiszczona gotówką.

Rok XX. **Kraków, piątek 21 maja 1937** **Nr. 139a**

NOWY DZIENNIK

WYDANIE WIECZORNE

Adres redakcji i administracji: Kraków, ul. Orzeszkowej 7. Telefon Nr. 102-79. Telefon redaktora naczelnego Nr. 136-89. Konto czekowe P.K.O. w Krakowie 400.630. Redaktor naczelny przyjmuje od godz. 12-ej do 1-ej w południe.

10 GROSZY

Wszelkie komunikaty należy nadsyłać wprost do administracji. Rękopisów redakcja nie zwraca. Za inseraty redakcja nie odpowiada. Ceny ogłoszeń i prenumeraty uwidocznione na ostatniej stronie.

Pierwsze wyroki sądowe w Brześciu

Dwie kobiety skazane po 6 miesięcy więzienia

(Telefonem od naszego korespondenta)

Warszawa. 21. 5. (A) W Brześciu odbyła się pierwsza rozprawa przeciwko oskarżonym o branie udziału w zajściach antyżydowskich, a szczególnie w rabunku. Pierwsza rozprawa odbyła się przeciwko dwom kobietom, z których jedna jest znaną w Brześciu paserką. Znaleziono u niej zrabowane żydowskie towary. Druga została oskarżona o rabunek. Obie zostały *skazane po 6 miesięcy więzienia.* Podczas rozprawy jedna z kobiet oświadczyła, że na ulicy jakiś młodzieniec wcisnął jej w ręce drukowaną kartkę z napisem: Bij Żydów i zabieraj ich dobro. Pod wpływem tej kartki przystąpiła do rabunku. Dziś ma się odbyć kilka podobnych rozpraw.

TRAGEDIA REEMIGRANTKI z Palestyny.

W Brześciu wielkie wrażenie wywołało samobójstwo 50-letniej Sary Raimann, która pod wpływem ostatnich zajść dostała rozstroju nerwowego i wczoraj rzuciła się do rzeki, skąd ją wyciągnięto nieżywą. Przed rokiem tragicznie zmarła przybyła z Palestyny do swego syna w Brześciu i wkrótce miała wrócić do Palestyny.

O ulgi podatkowe dla ofiar rozruchów

W Brześciu przez kilka dni bawił wiceprezes wileńskiej Izby Przemysłowo Handlowej i przewodniczący rady naczelnej kupiectwa żydowskiego w województwach wschodnich inż. Abram Kawenoki, który został przez Izbę wileńską wydelegowany dla zebrania materiałów o sytuacji gospodarczej Żydów brzeskich po zajściach. Inż. Kawenoki odbył dłuższą konferencję z delegacją warszawskiego związku kupców, na której uchwalono, że należy *natychmiast podjąć interwencję w Min. Skarbu dla odroczenia płatności podatków dla Żydów brzeskich.* Inż. Kawenoki odbył następnie konferencję z dyrektorem Urzędu Skarbowego w Brześciu, któremu przedstawił sytuację kupców brzeskich i uzyskał u niego *pozwolenie na wszczęcie wspomnianych kroków w Min. Skrabu. Dyrektor Izby również sam zgłosi odpowiedni wniosek do Ministerstwa Skarbu.*

W ciągu dnia dzisiejszego centrala związku kupców zgłosiła się do Min. Skarbu dla otrzymania ostatecznej decyzji w sprawie prolongaty dla wszystkich podatków i długów należnych od kupców brzeskich.

Co się działo w Kamieniu Koszyrskim

Warszawa. 21. 5. (A) Do Warszawy przybyła delegacja z Kamienia Koszyrskiego w związku z ostatnimi wydarzeniami w tym mieście. Jak delegacja podaje, zajścia rozpoczęły się na przedmieściu Zastawy w pobliżu gmachu starostwa i sądu. W zajściach brała udział nieliczna grupa osób, składająca się *z mętów ulicznych. Tłumy chłopów,* który przybyły na targ, *w zajściach udziału nie brały. Rannych jest 4 Żydów.* W okolicznych wsiach wypadki miały miejsce dopiero później. We wsi Jeziorki 5 km od Kamienia 20 rodzin żydowskich poniosło dotkliwe straty. We wsiach Kramne i Noj no wypadki zostały natychmiast zlikwidowane. Do Kamienia Koszyrskiego przybył prokurator, który rozpoczął śledztwo przeciw ko organizatorom zajść.

Za podszeptem muftiego...

Jerozolima, 21. 5. PAT. Prasa arabska donosi, że na skutek interwencji wielkiego muftiego Jerozolimy, król Ibn Saud, oraz król Iraku Ghazi wysłali do ministerstwa kolonii w Londynie notę, domagającą się nienaruszania terytorium Palestyny (w związku z pogłoskami o podziale na kantony), ograniczenia imigracji żydowskiej i wydania zakazu sprzedaży gruntów Żydom, oraz powołania do życia rady ustawodawczej w Palestynie.

Interpelacja

w sprawie wypadków w Brześciu

Warszawa. 21. 5. (A) Najprawdopodobniej *na dzisiejszym posiedzeniu Sejmu parlamentarzyści żydowscy wniosą interpelację w sprawie zajść w Brześciu.* (Interpelację tę ogłosimy in extenso w jutrzejszym porannym numerze „Nowego Dziennika" — Red.)

—<>—

Wspaniała rewia koronacyjna floty brytyjskiej

Portsmuth, 21. 5. (C) Wieczorna iluminacja floty i ognie sztuczne, będące zakończeniem olrzymiej rewii morskiej, były widowiskiem niezwykłym. O zmierzchu para królewska podejmowała obiadem na pokładzie swego jachtu admirałów, dowodzących flotą metropolitalną i śródziemnomorską, oraz wielu oficerów marynarki. Krótko przed godz. 10-tą para królewska w towarzystwie swych gości weszła na pokład jachtu „Wiktoria i Albert" i niemal w tej samej chwili ciemne sylwetki okrętów zalane zostały tysiącami świateł. Długi okrzyk podziwu wyrwał się z piersi setek tysięcy widzów, zebranych wzdłuż brzegów. W niebo wystrzeliły rakiety białe, niebieskie i czerwone. Wspaniałe ognie sztuczne trwały do godz. 12-ej w nocy, poczem para królewska wraz z gośćmi opuściła pokład jachtu. Na tym zakończył się dzień historycznej floty brytyjskiej.

—<>—

Powstańcy jeszcze nie dotarli do Bilbao

Bilbao, 21. 5. Koresp. Reutera donosi, że Manguia miasto o dużym znaczeniu strategicznym, położone u skrzyżowania dróg z Pleacie i Bermeo, broni się jeszcze, mimo dwudniowego natarcia i bombardowania artylerii powstańczej. Baskijskie władze wojskowe oświadczają, **że powstańcy jeszcze nigdzie nie dotarli do linii potężnych fortyfikacyj wokół Bilbao.**

Mimo ulewnego deszczu, odbyło się wczoraj zaokrętowanie 4.000 dzieci na statek „Habana". Dzieci mają być ewakuowane do Francji.

Buntował się przeciw obecnemu ustrojowi w Polsce...

Trzeci dzień procesu o napad na Myślenice

Fotografie

KRAKÓW, 21 maja.

Na wczorajszej rozprawie podczas przerwy uwijał się po sali sądowej jeden z głównych obrońców, adw. Stypułkowski z Warszawy i z widocznym zadowoleniem demonstrował egzemplarz „I. K. C.“, na którego tytułowej stronie widniało zdjęcie marsz. Śmigłego-Rydza wśród korporantów „Arkonii“. Naprzeciw naczelnego wodza, wygłaszającego swe przemówienie do młodzieży akademickiej, siedzi adw. Stypułkowski, przepasany szarfą korporancką.

Inną zupełnie scenę, również uwiecznioną na kliszy fotograficznej, zaobserwowaliśmy dzisiaj w godzinach rannych na plantach w pobliżu gmachu sądowego. Oto jeden z występujących w procesie aplikantów adwokackich sporządzał zdjęcia oskarżonych, odpowiadających z wolnej stopy, przy czym fotografia dla większej wyrazistość ozdobiona będzie egzmeplarzami „Orędownika“ trzymanymi w rękach przez poszczególnych oskarżonych. Następne zdjęcie, po odpowiedniej „próbie generalnej“ przedstawiać będzie oskarżonych podnoszących ręce do hitlerowskiego pozdrowienia.

Po tym „pokrzepieniu na duchu“ płynącym ze szpalt „Orędownika“ i z pozdrowienia, symbolizującego spólnotę duchową z sąsiadem z zachodu, oskarżeni zjawili się w budynku sądowym, gdzie nadal oddają się beztroskim rozhoworom.

Oskarżony-inteligent

Trzeci dzień procesu wspólników Doboszyńskiego przyniósł na wstępie zeznania jedynego inteligenta wśród oskarżonych. Jest to 24-letni Marian Wąchała, b. słuchacz I. roku prawa, który obecnie podaje, że jest bezrobotny. Zeznaje od donośnym głosem zawodowego agitatora, jak gdyby znajdował się na zebraniu Stronnictwa Narodowego, którego jest czynnym działaczem. Ostentacyjnie nazywa Doboszyńskiego „kolegą“ i ze szczególną nienawiścią wyraża się o policji, co zresztą nie przeszkadza mu — w odpowiedzi na pytanie „speca“ od zajść krakowskich adw. Kuśnierza — ubolewać nad tym, że „bojówki żydowskie“ strzelały do policjanta polskiego. Rolę swoją w zajściach stara się przedstawić w świetle najniewinniejszym, a odwołując zeznania, zgłoszone na posterunku policji, tłumaczy to obawą przed pobiciem i niechęcią rozmawiania z „nieinteligentnymi“ policjantami. Wprawdzie także u sędziego śledczego niejedno powiedział, co obecnie odwołuje, ale i na to ma wytłumaczenie: Podczas przesłuchania w Myślenicach nie wiedział, że zeznaje przed sędzią śledczym. O Doboszyńskim wyraża się w superlatywach, ale mimo to, dowiedziawszy się o jego występie w Myślenicach, „natychmiast“ wycofał się i nie brał udziału w walce z policją w Porębie. Tak przynajmniej zeznaje obecnie, aczkolwiek nie brak współoskarżonych, którzy w śledztwie zeznali, że widzieli go podczas strzelaniny w Porębie. Obecnie i oni będą go niewątpliwie „pucować“...

Zeznania osk. Wąchały:

Na kilka dni przed wypadkami zaprosił mnie kolega inż. Doboszyński do siebie, zapowiadając, że chce w moim towarzystwie dokonać objazdu powiatu myślenickiego w celach agitacyjnych jako przewodniczący Stronnictwa Narodowego. Dnia 21 czerwca około godz. 5-tej popołudniu wyjechałem autobusem z pl. św. Ducha w Krakowie do Mogilan, a stamtąd udałem się pieszo do odległego o około 2 klm. dworu kolegi Doboszyńskiego w Chorowicach. Kolega Doboszyński leżał w łóżku i skarżył się na przeziębienie. Powiedział on do mnie: Dam wam trzech ludzi, z którymi wyruszycie do Poręby i tam na górze zaczekacie na mnie. O jakimkolwiek planie napadu na Myślenice zupełnie nie wspominał, a tylko dał nam plecaki z żywnością. W moim plecaku były trzy chleby i trochę kiełbasy. Nie dziwiłem się temu wcale, bo przypuszczałem, że będziemy w powiecie myślenickim przez kilka dni objeżdżać wsi z referatami, a zresztą tak mocno wierzyłem i wierzę w Doboszyńskiego, że gdyby mi nawet kazał nosić jakieś drzewo, tobym to chętnie uczynił.

„Spacer“ do Poręby

Po kolacji przyszli trzej ludzie, z których znałem kolegę Calata. Zanim wyruszyliśmy w drogę, poprosiłem kolegę Doboszyńskiego o mapę, abym mógł trafić do Poręby. Jestem podchorążym rezerwy i znam się na mapie. Wyszliśmy mniej więcej o godzinie 10-tej wieczór. W Mogilanach zatrzymaliśmy się blisko trzy godziny.

Po godzinie 1-szej w nocy udaliśmy się w kierunku Poręby. Szliśmy całą noc. Nad ranem po przebrnięciu Raby zatrzymałem się niedaleko Poręby u znajomego Burtata, gdzie napiłem się ciepłego mleka. Następnie siedliśmy na skraju lasu i oczekiwaliśmy przybycia Doboszyńskiego. Koledzy rozeszli się w różne strony, aby wypatrywać jego przybycia, ja zaś zdrzemnąłem się.

Spotkanie z oddziałem Doboszyńskiego

Może po godzinie albo dwóch ujrzałem kolegę inż. Doboszyńskiego, kroczącego na czele oddziału. Kto był w tej grupie, tego nie wiem. Kolega Doboszyński opowiadał mi o zajściach w Myślenicach. Ja znałem go jako człowieka, który uważał za swój obowiązek wszczepiać w lud polski miłość ojczyzny i ideę narodową, która wcześniej czy później musi zwyciężyć. Nie podobało mi się to, że poszedł na Myślenice, powiedziałem mu więc, że nie mam zamiaru brać udziału w tej wyprawie i tłumacząc się, że jestem chory, wycofałem się. Wróciłem do tego samego Wojciecha Burtaty, u którego przebywałem podczas całej strzelaniny. Podaję go na świadka, że przez dwie godziny siedziałem u niego. Na odgłos strzałów wybiegliśmy z chaty i widzieliśmy kilku uciekających. Z całą stanowczością stwierdzam, że to co mi zarzuca akt oskarżenia jest nieprawdą. Mogę podać jako dowód treść rozmów jakie prowadziłem z Burtatą, jego żoną, oraz osobnikiem o wyglądzie cygana, który u niego się znajdował.

Wróg policji

Po paru godzinach wyszedłem od Burtaty i zdawałem sobie sprawę z tego, że jeżeli wpadnę w ręce policji, to podzielę los kolegów, bo policja wie, że jestem narodowcem i pała szczególną nienawiścią do narodowców. Na drodze zatrzymał mnie patrol policyjny i zapytał co tu robię. Odpowiedziałem, że jestem studentem z Krakowa i bawię na wakacjach. Puścili mnie wolno, ale ja wiedząc, że zanotowali moje nazwisko spodziewałem się ponownego przytrzymania, co się też stało. Oczekując na ewentualne represje położyłem się spać (!) Później poszedłem w stronę Zakliczyna. Niedaleko Raby nadjechało auto policyjne. Jeden z policjantów chwycił mnie za kołnierz i za pierś, poczem zrewidował mi kieszenie. Widząc, że nic w nich nie mam odezwał się: „A toś draniu już wyrzucił“ a następnie zwrócił się do drugiego posterunkowego z poleceniem „Jeżeli będzie chciał uciekać to pal sk... w łeb“. Wepchnięto mnie do auta, gdzie leżeli skrępowani koledzy.

PRZEW.: Czy pana też skrępowano? — —, dla mnie zrobiono to ustępstwo, nie wiem czemu. Podobno zabrakło im sznura. Czytałem dziką żądzę nienawiści w oczach policjantów. Odnosili się oni wrogo do przytrzymanych. Podczas pobytu na posterunku w Myślenicach słyszałem pojedyncze krzyki kolegów. Słyszałem pogróżki: My ci pokażemy, a skoro koledzy krzyczeli, to chyba nie dlatego, że im się dobrze działo.

PRZEW.: Dlaczego nie zeznawał pan w dochodzeniach to, co dziś? — Posterunkowi zachowywali się wobec mnie ordynarnie, nazywali mnie smarkaczem i gówniarzem, a ponadto słyszałem jak kolega Galata krzyczał w sąsiedniej ubikacji „Jezus Maria“, postanowiłem więc, że będę mówił tylko z ludźmi inteligentnymi.

Wyparł się „wodza“

PRZEW.: Zeznał pan u sędziego śledczego, że Doboszyński odezwał się do pana, iż ludzie jego przekroczyli granice danego im zezwolenia, a teraz czeka ich odpowiedzialność.

OSK.: Kolega Doboszyński jest tak szlachetny, tak kochający naród polski, że nie wyszłoby mu z ust to słowo.

PRZEW.: A jednak pan tak zeznał. Czy to była nieprawda?

OSK.: (wahająco) Częściowo. Kolega Doboszyński powiedział może, że ludzie jego przekroczyli ramy pozwolenia, a reszty nie przypominam sobie.

PROK. SZYPUŁA: Z początku w dochodzeniach pan wypierał się Doboszyńskiego, a Doboszyński pana. Dlaczego?

OSK. Bałem się terroru, bo zdawałem sobie z tego sprawę, że wprawdzie ja jestem mocny, ale zęby moje nie są mocne i bałem się, że mnie pobiją.

Poprzednie wyczyny

Na pytanie jednego z obrońców oskarżony przedstawia swe poprzednie konflikty z policją, zeznając:

— Byłem przytrzymany pod zarzutem szablonowania napisów antyżydowskich, ale zostałem uniewinniony. Nadto zostałem bezprawnie przytrzymany przez policję pod zarzutem napadu na lokal Polskiej Młodzieży Demokratycznej w Krakowie, która wówczas cieszyła się poparciem władz, a obecnie działa wspólnie z młodzieżą socjalistyczną i komunistyczną. Wreszcie przytrzymał mnie bezprawnie przodownik policji i oskarżył, że na zgromadzeniu narodowym powiedziałem, że Polska wywiozła do Niemiec 100.000 świń, a sprowadziła 100.000 Żydów. Jak narodowcy dojdą do władzy, to zrobią z tym porządek. Na rozprawie zostałem uniewinniony.

Jeden z obrońców endeckich wydostaje od oskarżonego zeznanie, że zmuszony był porzucić studia z powodu aresztowania i uniemożliwienia mu zarobkowania lekcjami.

PROK. SZYPUŁA: Pan był w areszcie od 23 czerwca do 5 września. Jest to okres ferii. Co panu przeszkadzało podjąć lekcje po wyjściu z więzienia? OSK.: Przed feriami miałem zapłacić czesne na Uniwersytecie, ale zostałem aresztowany i nie mogłem zapłacić.

Obserwator zajść krakowskich

OBR. KUŚNIERZ: Jakie refleksje wywołały w panu zajścia marcowe w Krakowie? OSK.: Śmierć 11 polskich robotników na ulicach Krakowa wzbudziła we mnie uczucie buntu przeciw obecnemu ustrojowi w Polsce. Buntowałem się w duszy przeciw tolerowaniu elementów komunistycznych i socjalistycznych.

PRZEW.: Czy pan wie, że niektórzy sprawcy zajść krakowskich zostali zasądzeni? OSK: Wiem.

OBR. KUŚNIERZ: Co pan zaobserwował podczas tych zajść? OSK.: Widziałem bojówki żydowskie, strzelające do policji (w Porębie oskarżony nie widział oczywiście bojówek „narodowych“, na prawdę strzelających do policji, bo — wycofał się... Uw. Red.). Polacy polegli, a potem na ławie oskarżonych byli Żydzi, nie Polacy (o-

rzywisty fałsz Uw. Red.).

OBR. KUŚNIERZ: Co pan wie o agitacji „folksfrontu"? OSK.: Słyszałem od kolegów, że starostwo ułatwiało zebrania „folksfrontu".

PRZEW.: W której miejscowości to było? Nie wiem. — Od kogo to słyszał? — Nie pamiętam.

OBR. KUŚNIERZ: Jakie są cele „folksfrontu"?

PRZEW.: Uchylam to pytanie.

OBR. POZOWSKI: Czy w P. P. S. przewodzą obecnie starzy działacze robotniczy? OSK.: Nie, przewodzą tam przede wszystkim młodzi, nienawidzący nas Żydzi.

(Dodać należy, że osk. Wąchała jest synem funkcjonariusza tramwajowego, zorganizowanego w socjalistycznym związku zawodowym...)

„Ideowcy" -- między sobą

Następny oskarżony Andrzejj Galata odbywał "spacer nocny" do Poręby razem z Wąchałą. Również i on wypiera się udziału w strzelaninie w Porębie, aczkolwiek w śledztwie zeznał, że w niej uczestniczył wraz z innymi oskarżonymi.

Przew.: Dlaczego obciążał pana Brożek zeznając, że pana widział z karabinem? Osk.: Może z zazdrości, że ja jestem na wolności i mogę targować, a on musi siedzieć w więzieniu.

Przew.: Więc mówi pan, że Brożek źle robi, obciążając pana. A czy pan kogoś obciążył? — Mówiłem. — A czy to była prawda, coście mówili o innych oskarżonych? — Nie prawda. — Nic? — Po części może prawda. Co do Stanisława Pałki mówiłem, że oglądał bagnet. — Oglądał, czy miał? — —Czy miał, czy tylko oglądał, tego nie wiem. — A jak to było z torbą policyjną osk. Stanisława Kwinty. — Leżała kolo niego. — Przecież mówiliście, że nosił ją przewieszoną przez ramię. — Nie przypominam sobie tego.

Prok.: Czy pan widział Wąchałę podczas strzelaniny w Porębie? — Nie. — A dlaczego pan zeznał tak w śledztwie? — Nie widziałem go i już.

W straganie -- zbawienie

Z dalszych pytań obrońców endeckich okazuje się, że oskarżony od dwóch lat trudni się sprzedażą konfekcji na straganach. Przerzucił się do straganu w związku z wiadomym prądem „narodowym".

Obr. Kuśnierz: Jakie zajęcie uważa pan za rentowniejsze: rolnictwo, czy handel? — Handel. — A w czyich rękach jest u was handel?

Przew.: Uchylam to pytanie.

Obr.: Co pan poprzednio robił? — Pracowałem na budowie w firmie Uderskiego. To jest firma żydowska i jak się dowiedzieli, że ja należę do Stronnictwa Narodowego, wyrzucili mnie.

Dalsze pytania obrońcy Kuśnierza zmierzają do przedstawienia „wyzwoleńczej" misji zakładania straganów, „niewoli żydowskiej". Oskarżony słyszał na zgromadzeniach Stronnictwa Narodowego, że „Żydzi mają 95 procent kapitału, a Polacy tylko 5 procent". Nic dziwnego, że wobec takiego uświadomienia „narodowego" znalazł się w szeregach uczestników marszu na Myślenice. Pewno chciał tanim kosztem zaopatrzyć się w towar dla swego straganu..

„Palestyna ich nie przyjmie!"...

Po krótkiej przerwie obrona wystąpiła z wnioskiem o wypuszczenie na wolność 16-tu oskarżonych, przebywających dotychczas w więzieniu. Niesmak wywołują pewne akcenty przemówienia dr Pozowskiego, który wywodzi m. in.:

„Choćby oskarżeni chcieli, nie mają gdzie uciekać, Palestyna ich nie przyjmie, Blum nie otworzy im wrót Madagaskaru".

Prokurator dr Szypuła sprzeciwił się wnioskowi, a trybunał postanowił ogłosić decyzję w późniejszym terminie.

Kto się oddali -- kula w łeb

Obciążająco dla współoskarżonych zeznaje Stanisław Pachel, który stwierdza, że dwaj z zasiadających na ławie Broich i Józef Pałka nieśli karabiny. Również Pachel miał karabin, który wręczył mu osk. Pryk.

Konsternację na ławie oskarżonych wywołuje oświadczenie Pachla:

„Bałem się, że gdy ucieknę, to będą za mną strzelać".

Dalszy osk. Józef Bularz twierdzi, że „zgłupiał" gdy towarzysze jego zaczęli rozbijać sklepy. On dostał od kogoś karabin, ale sklepów nie demolował. I ten oskarżony nie wycofał się, gdyż bał się, że będą za nim strzelali jego własni towarzysze.

Na Rynku myślenickim był osk. Stanisław Pałka, nie miał jednak karabinu. W ogóle nic nie robił. Od kolegów słyszał, że kto się oddali, dostanie kulką w łeb.

Rabować sklepy żydowskie!

Osk. Jan Kolasa brał udział w marszu na Myślenice. W drodze polecono im rabować sklepy żydowskie. Po drodze zatrzymali się przed posterunkiem. Kilku z nich weszło do wnętrza i za chwilę wyszli z karabinami w rękach. Kto niósł karabiny, tego nie widział. Był również świadkiem „ujęcia" policjanta gminnego, ale też nie wie kto go „ujął". Po opuszczeniu Myślenic, nastąpił odpoczynek w lesie.

Prok.: Czy w czasie wymiany strzałów z policją widział pan inż. Doboszyńskiego strzelającego? — Nie.

— Ale tak pan zeznał!

Doboszyński groził rewolwerem usiłującym wycofać się

Sąd odczytuje zeznania te, po których Kolasa oświadcza, że obecnie nie pamięta. Duże poruszenie natomiast wywołuje oświadczenie Kolasy, który stwierdza, iż Doboszyński oświadczył ludziom, że będzie strzelał do nich, jeśli będą próbowali uciekać.

W śledztwie zeznał osk. Kolasa, że prócz Doboszyńskiego był jeszcze jakiś osobnik, który groził uczestnikom marszu żelaznym drągiem, na wypadek ucieczki. Również obecnie na rozprawie oskarżony potwierdza to samo.

Niefortunne pytania

W trakcie pytań nie miał szczęścia dr Kuśnierz, pytając oskarżonego:

— Czy Doboszyński polecił wam demolować sklepy żydowskie? — Tak

Obrońca usiłuje pokryć wrażenie to, dążąc do wykazania, że Doboszyński polecił „demolować" a nie "rabować". Ogółem jednak odpowiedzi Krasnego nie przynoszą pociechy ławie obrońców.

Rola Doboszyńskiego coraz bardziej wychodzi na jaw

Od momentu zdemolowania sklepów żydowskich rozpoczyna swe zeznania osk. Jan Lelek Stwierdza on kategorycznie, że przed Myślenicami Doboszyński wydał rozkaz demolowania sklepów żydowskich. Gdy przyszli do Rynku zaczęto też rozbijać sklepy. Osk.: wypiera się jednak udziału w rozbijaniu sklepów.

W czasie odpoczynku „dostał" od kogoś marynarkę. Wprawdzie w śledztwie stwierdzono, że „dostał" również buty, ale tego wypiera się obecnie.

Prok.: Znaleziono u pana na nogach nowe lakierki. Gdy pan na wyprawę chodził w lakierkach? — Tak, w lakierkach. Ja nosiłem wtedy lakierki.

— A więc taki marsz w lakierkach!

— Czy pamięta pan, że Doboszyński powiedział w pewnym momencie, że „policję można roznieść na widelcach"? — Jak tak napisane, to tak mówiłem.

Jeszcze większe poruszenie wywołuje kategoryczne oświadczenie oskarżonego, stwierdzające teror Doboszyńskiego w stosunku do podwładnych Doboszyński oświadczył, że „kropnie w łeb temu, kto spróbuje uciekać".

Efekt tych słów jest tak widoczny, że obrona nie zadaje oskarżonemu ani jednego pytania.

Wszelkiego udziału w wypadkach myślenickich wypiera się osk. Piotr Sroka. Zupełnie inaczej mówił u sędziego śledczego. Przyznał się do rozbijania sklepów i zabrania pieczywa ze zdemolowanej piekarni. O tym wszystkim obecnie ni słowa. (Dalszy przebieg procesu w jutrzejszym numerze porannym.)

Paryż -- na cztery dni przed wystawą

(Specjalna służba informacyjna »N. Dziennika«)

Paryż, 21. 5. (A) W przyszły poniedziałek nastąpi urzędowe otwarcie wystawy paryskiej przez prezydenta Republiki i członków rządu w obecności 10 tys. zaproszonych gości. Za cztery dni...

Jeśli jednak spojrzeć na wystawę z zewnątrz, po przez sterczące parkany i wyloty rusztowań, odnosi się wrażenie, że i za cztery miesiące wystawa nie będzie chyba ukończona. Ale jest to tylko wrażenie, bo jeśli robotnicy zechcą naprawdę pracować, to i dwa tygodnie wystarczy na dokończenie dzieła wymagającego dwóch miesięcy czasu. Niestety część robotników nie chce pracować i to wbrew nakazom konfederacji pracy. Po ukończeniu robót wystawowych znajdą się oni bez pracy, czyli że przejdą na zapomogi dla bezrobotnych i będą otrzymywali 20 fr. dziennie, podczas, gdy dziś zarabiają po 120 fr. dziennie. Oto przyczyna, dla której część robotników pracuje powolnie, aby mogła jak najdłużej pobierać 120 fr. za 6 godzinny dzień pracy.

Drugą przyczyną nieukończenia robót wystawowych są deszcze, bo istotnie nie ma dnia ani nocy bez rzęsistej ulewy i zła pogoda rzeczywiście wpłynęła na zwolnienie tempa robót.

Istnieją wreszcie przyczyny polityczne. Utworzyła się wśród robotników wystawowych komórka anarchistystyczna, która na terenie robót robi wszystko co może, aby sobotować wystawę i skomromitować „burżuazyjny rząd Bluma".

Należy jednak stwierdzić, że rozmach wystawy jest chyba bez precedensu i w tej dziedzinie. Ogrom dokonanych robót, olbrzymie przestrzenie, fantastyczne budowle i pałace, nowe ulice, tunele i drogi komunikacyjne i t. d., wszystko to przytłacza i przeraża umysły w całym znaczeniu tego słowa wysiłkiem i nakładem pieniędzy. Blisko dwa miliardy franków. Jeżeli wystawa roku 1900 zarejestrowała 5 milionów biletów wejścia, to nie ulega wątpliwości, że liczba ta będzie jeszcze większa w roku bieżącym. Zresztą spodziewany ogólny dochód sięga z górą 25 miliardów franków.

Należy też żywić nadzieję, że w końcu maja i na początku czerwca będzie już można oglądać na wystawie sporą część prawdziwych dziwów sztuki i techniki zgromadzonych przez kilkadziesiąt narodów biorących udział w wystawie międzynarodowej.

Berl Locker w Warszawie

Warszawa. 21. 5. (A) Do Warszawy przybył z Palestyny znany przywódca syjonisty czny i członek Egzekutywy Syjonistycznej, Berl Locker, który wystąpi w sobotę na Akademii palestyńskiej. We wtorek przyleci do Warszawy członek Egzekutywy I. Grynbaum i dyr. Stalhammer celem omówienia zagadnień, wynikłych na tle trudności clearingowych.

Jerozolima, 20. 5. ŻAT. Niedaleko gmachu szkoły Bezalel w Jerozolimie znaleziono dziś nad ranem Araba zmarłego na skutek ran postrzałowych Toczące się śledztwo ma ujawnić okoliczności morderstwa.

IORIS IVENS (Madryt)

Dziennik hiszpański reżysera filmowego

Aeroplanem do Alicante. Tam zatrzymujemy się dzień. Potem autobusem do Walencji. W Walencji czujemy już oddech wojny. Dopiero jednak w Madrycie odczuwa się w całej pełni wojnę. W Walencji dostaliśmy auto i pojechaliśmy sławnym już gościńcem do Madrytu. Wszystko, co konieczne jest dla ludności i armii, transportuje się tą drogą. Madryt wywiera potężne wrażenie. Ludność zdecydowana, heroiczna, kochająca swą wolność.

Spaliśmy w jakimś pałacu hrabiowskim. Na drugi dzień jesteśmy już na froncie. Byliśmy przeważnie w okopach.

Mieliśmy pecha z pogodą. Przez trzy tygodnie mieliśmy tylko pięć dni słonecznych. Pierwotnym naszym zamiarem było nakręcenie filmu dokumentarnego, zaczynającego się od wiosny 1936, od legalnych wyborów, od iluzji wolności, którymi żyli wtenczas ludzie, a następnie przejść chcieliśmy do zdrady generałów. Taka jednak rekonstrukcja jest niemożliwa we warunkach wojennych. A zresztą czs przechodzi szybko, gdy się widzi z bliska np. faszystowski atak powietrzny na jakieś miasto lub wieś. W Hiszpanii teraźniejszość stoi pod aspektem jutra. Z tego dla nas wniosek jasny: nie można w Hiszpanii nawet myśleć o filmie retrospektywnym.

A więc chwyć za kamerę i to szybko, inaczej pozostaniesz w tyle. A więc bierz sam osobiście udział we wszystkim i kręć natych miast film reportażowy. Potem dopiero, już po zwycięstwie, zrobimy film, jaki planowaliśmy. Kręcimy więc film reportażowy, którego tytuł brzmi „Obrońcy Madrytu".

W pierwszych dniach robimy spokojnie zdjęcia okopowe oraz fotografujemy codzienne życie w Madrycie. W ostatnich dniach skierowaliśmy się bardziej na południe i spędziliśmy kilka dni z brygadą międzynarodową. Często dokonywaliśmy zdjęć wśród huraganowego ognia artylerii i karabinów maszynowych. Przeżyliśmy roz paczliwą ofensywę wroga, który chciał odciąć Madryt od Walencji. Pierwszego dnia skierowany był ogień na wielki most. Byliśmy w pobliżu. Granaty padały znacznie dalej, omijając cel. Robiliśmy zdjęcia na dachu jakiegoś domu w pobliżu. Zobaczycie to wszystko w filmie. Potem nie było już tak wesoło, bo zaczęli bombardować nasz dom. Nasze auto, które stało na drodze, zostało trafione. Straciliśmy 200 metrów filmu. W dzień nie mogliśmy pójść do auta, bo natychmiast strzelano, ale nocą odebraliśmy sobie film. Było to pierwsze bombardowanie w mym życiu. Na szczęście mało było ofiar.

W filmie nie wygląda to tak niebezpiecz nie, jak w rzeczywistości. Wojna ruchoma z małymi oddziałami nie jest tak dramatycz na jak film hollywoodzki. Na drugi dzień byliśmy przy artylerii brygady niemieckiej. Potem musieliśmy wrócić do Walencji. Zanim odjechaliśmy mieliśmy jeszcze sposobność fotografować zestrzelenie przez rządowe aeroplany myśliwskie niemieckiego aparatu Junkersa.

Film będzie miał treść następującą: Obrona Madrytu w styczniu 1937. Ćwiczenia wojskowe na drogach obok Madrytu. Prezydent Azana w Kortezach. Okopy między parkami a pomnikami. Komisarz polityczny, który wygłasza przemówienie poza fron tem. Walki w dzielnicy uniwersyteckiej. Linią ognia są domy, których mury stanowią naturalne okopy. Okna są zabarykadowane workami z piaskiem. Komendantowi odcinka towarzyszy kamera. W okopach: jedzenie, czytanie gazet, sprawy codzienne, autobusy ciężarowe z wodą. Prawdziwe gazety okopowe. Żołnierz wśród ciężkiego ognia karabinowego pisze list do domu.

Potem zdjęcia brygady międzynarodowej. Na sam koniec nowe oddziały wojskowe, które odchodzą na front.

Groza i - szlachetne odruchy w Brześciu

Red. J. Appenszlak, który w towarzystwie naszych przedstawicieli parlamentarnych wyjechał do Brześcia, w ten sposób opisuje na łamach „Naszego Przeglądu" swoje wrażenia:

OBRAZY ZNISZCZENIA.

Wychodzimy na ulicę, towarzyszą nam przedstawiciele miejscowego komitetu pomocy, przywódcy tutejszej inteligencji. Obok całych, nienaruszonych, otwartych sklepów, należących do chrześcijan, ciemne czeluście splądrowanych magazynów i sklepów żydowskich. Prostokąty okien, przekreślone naukos naprędce przybitymi deskami. Co parę kroków, na ulicach pryncypalnych, 3 Maja, Dąbrowskiego, Długiej — napisy kredowe na murach, parkanach i bramach: „Tu mieszka chrześcijanin!" Tu mieszka Polak". W kilku miejscach napisy niedokończone, jakby przerwane nagle, w chwili, gdy tłuszcza zbliżała się do piszącego: „Tu mieszk..." Może to pisał właśnie Żyd, aby się osłonić tym napisem. Gdzie indziej na płocie, wyraźnie: „Bij Żyda w mordę!" W innym miejscu: „Nie kupuj u Żyda, bo. Żyd złodziej!" Ale te ostatnie napisy pochodzą zapewne z epoki moralnego przysposobienia do walki. Najpierw przecież pisano na murach: „Bij Żyda w mordę!", pisano miesiącami, latami, że Żyd złodziej i „nie kupuj u Żyda!", stworzono całą literaturę w tym duchu, a potem...

Potem wchodzimy w Brześciu do sklepu, do jednego z wielu rozbitych sklepów, wchodzimy do mieszkań, pod naszymi podeszwami zgrzytają odłamki szkła, potykamy się w pokojach, w małych, nędznych izdebkach o kamienie, wyrwane z bruku. W sklepie radiowym kupa szkła, zwoje drucików, zmiażdżone deseczki skrzynek, pogięte transformatory, pogruchotane gałki, połamane tabliczki z wykazem radiostacyj świata. Co nie miało wartości zostało zniszczone, co było coś warte: aparaty, lampy, akumulatory baterie — zabrane przez grabieżców. Może w tej chwili grabieżca siedzi w domu przy odbiorniku, zrabowanym Żydowi, słucha muzyki, podczas gdy właściciel sklepu załamuje ręce, opowiada nam, jak to było, podbiega do Schorra, chwyta go za ręce, płacze: „Panie profesorze, panie profesorze, wszystko mi zabrali, nic nie zostało, co ja zrobię, co ja zrobię!?" I to samo w sąsiednim sklepie, jeszcze w dziesięciu, w dwudziestu innych zdumiewające precyzyjne, dokładne, misterne wprost zniszczenie przedmiotów, których nie warto było zabierać. W sklepie z materiałami piśmiennymi, kobieta z wyglądu inteligentna, spacerując opowiada nam o tym, jak potłuczono wszystkie kałamarze, polano atramentem papeterie, darto papier, zeszyty, bibułki, łamano ołówki, rabowano pióra. Jakiś chaos papierowy, pomięte koperty, arkusze papieru, pudełka tekturowe. „Nawet to — mówi kobieta — nawet to zniszczyli". Trzyma duży notes, przebity nożem, poplamiony atramentem.

W składach manufaktury sztuki materiału pokrajano na pasy. Z koszul, ręczników, serwet, ani śladu. Może chodzi sobie teraz po Brześciu taka paniusia w koszulce, zrabowanej w tym sklepie — jedna z tych, które, jak nam opowiadano biły brawo, przyglądając się robocie chuliganów.

W niektórych dzielnicach, zamieszkałych przeważnie przez Żydów, nie można dostać szklanki wody sodowej. Rozbite butelki i syfony, potłuczone szklanki, pogięte balony. Na wielu sklepach ciężkie żaluzje żelazne, pomięte, zgniecione, jakby były z papieru. Tu pracowano przy pomocy łomów, siekier, oskardów, nożyc ślusarskich do krajania blachy. W maleńkim sklepiku spożywczym nie oszczędzono nawet stołka, który leży teraz pogruchotany, bez dwuch nóg.

W DOMU SIEROT.

Stajemy przed budynkiem schroniska dla sierot Tow. „Centos". Wszystkie okna rozbite. Wchodzimy do wnętrza. Jadalnia, pokoje sypialne zasypane odłamkami szkła, kamieniami, którymi chuliganie atakowali dom sierót, największą nędzę ludzką, niedolę dziecięcą, dla której przecież najgorszy, najbardziej zezwierzęcony człowiek — ma odrobinę uczucia, miłosierdzia.

Dzieci chodzą teraz jakby jeszcze przerażone po gmachu, podnoszą z ziemi, oglądają wielkie ciężkie kamienie. Co czują, co myślą teraz o swym życiu, w którym straciły rodziców i nie zaznały nawet spokoju w sieroctwie? Kierownik opowiada nam o tym, jak podczas pogromu kazał dzieciom ukryć się na strychu. Pękały szyby, sypało się szkło, padały z hukiem ciężkie kamienie. Czy dzieci płakały, krzyczały? Nie, leżały cichutko na strychu, kazano im zachowywać się spokojnie, były posłuszne, grzeczne.

Wiele się przeżyło: wiele się rzeczy widziało okropnych, lecz chwile pobytu w sierocińcu „Centosu" nie zatrą się już w pamięci. Była chwila, gdy wszyscy staliśmy w milczeniu, patrzyliśmy na siebie, staraliśmy się panować nad nerwami, lecz żadną siłą nie mogliśmy powstrzymać przypływu łez do oczu.

SZLACHETNI.

Dlaczego tak mało ludzi widać na pięknych, szerokich ulicach Brześcia, dlaczego tak pusto jest na plantach, dlaczego tak rzadko spotyka się ludzi spacerujących? Żydzi niechętnie wychodzą na miasto, to zrozumiałe, nie ochłonęli jeszcze po wstrząsie. Ale inni?

Zapewniano mnie, że bardzo wielu Polaków-chrześcijan przeżywa głęboko tragedię Brześcia. Widziałem. przechodniów, którzy szli szybko przed siebie, nie oglądając się ani na prawo, ani na lewo, jak gdyby nie chcieli patrzyć na przybite do okien i drzwi deski, podobne do plastrów, okrywających rany.

W czasie zajść czwartkowych wielu szlachetnych Polaków stawało w obronie Żydów.

Byli tacy, którzy odmawiali Żydom schronienia. To prawda. Ale było wielu takich, którzy śmiało występowali przeciw tłuszczy.

Szlachetna odwaga tych obrońców zasługuje na specjalne podkreślenie. Będzie ona zachowana na zawsze w pamięci naszej.

Pokazywano nam szeregi domów nietkniętych przez grabież antysemicką.

Dla Żydów brzeskich te domy — te miejsca nietknięte — to placówki, na których zwyciężył duch hamanitaryzmu szlachetnych Polaków.

Miasto kopalń złota zniszczył niesamowity pożar

(Specjalna służba informac. „Now. Dziennika")

Manila, (Filipiny) 21. 5. (R) Wielki pożar, jaki wybuchł w mieście kopalń złota Aracale, szaleje z niezmienioną siłą. Połowa miasta w obecnej chwili jest zupełnie zniszczona. Wiele tysięcy rodzin pozostaje bez dachu.

Straty oceniane są na przeszło pół miliona dolarów.

Liczba ofiar jeszcze nie została ustalona. Według doniesień prasy, po opuszczeniu mieszkań przez ludność, bandy rabusiów poczęły plądrować miasto.

KRAKÓW - WCZORAJ i DZIŚ

Tajemniczy mord na granicy polsko-niemieckiej

i jego epilog przed sądem wojskowym w Krakowie

Z końcem lutego b. r. znaleziono na granicy polsko-niemieckiej zwłoki zmasakrowanego mężczyzny. Zwłoki leżały ukryte w gąszczu leśnym, na szlaku między miejscowościami Zychcice a Wojkowice-Komorowice. Na głowie zabitego widać było liczne rany, zadane ostrym narzędziem.

Policja rozpoczęła natychmiast dochodzenia. Doprowadziły one do ustalenia, że zamordowanym jest JERZY FLEISCHER, obywatel niemiecki, zamieszkały w Bytomiu. Młody człowiek wydalił się z domu dzień przed wypadkiem i od tej chwili nie widziano go nigdzie.

Idąc po nitce do kłębka ustalono, że Fleischera widziano tuż przed zaginięciem w towarzystwie kobiety, a wkrótce ustalona została również identyczność tej kobiety. Okazało się, że jest to również obywatelka niemiecka, Waleska Skibowa, zamieszkała w okolicy Bytomia.

W ten sposób śledztwo prowadzone było w dalszym ciągu i zakończyło się wkońcu ustaleniem szczegółów potwornego mordu i okoliczności wśród jakich zbrodnia została dokonana. Okazało się że sprawa ta pozostaje w związku z dezercją pewnego osobnika, który jest mieszkańcem Górnego Śląska.

I tak wyszło na jaw, że w maju ubiegłego roku zbiegł z jednego z pułków w Polsce szeregowy EMIL JERZY WOWROSCH. Osobnik 26-letni z Siemianowic, przed wstąpieniem do wojska pomocnik ślusarski, wydalił się z koszar w dniu 17 maja 1936 i znikł z kraju. Jak się później okazało, przekradł się przez granicę i przez jakiś czas przebywał w Niemczech, gdzie poznał Waleskę Skibową, z którą nawiązał bliższy stosunek.

Po kilkumiesięcznym pobycie w Niemczech wrócił jednak Wowrosch do Polski i tutaj ukrywał się przed władzami. Nie mogąc ukazać się w rodzinnym miasteczku, gdzie jest poszukiwany, Wowrosch uknuł piekielny plan. Postanowił dokonać morderstwa, zdobyć dokumenty i w ten sposób wyemigrować do Czechosłowacji. Pomocną w tym ma mu być jego kochanka Skibowa.

W tym celu Skibowa nawiązuje znajomość z Jerzym Fleischerem, obywatelem niemieckim, który pewnego dnia zwabia na schadzkę do lasu, po stronie polskiej. Tutaj czai się Wowrosch, KTÓRY W PEWNYM MOMENCIE NAPADA NA FLEISCHERA, ZADAJE MU KILKA CIOSÓW W GŁOWĘ I ZABIJA. W TEN SPOSÓB ZDOBYWA POTRZEBNE DOKUMENTY, ALE ZANIM ZDĄŻYŁ JE ZUŻYTKOWAĆ ZOSTAJE W DNIU 7 MARCA B. R. W SIEMIANOWICACH ARESZTOWANY.

Przesłuchany w śledztwie Wowrosch i jego kochanka opisują dokładnie przebieg zbrodni. Wowrosch stara się jednak o nadanie sprawie innego kierunku. Mówiąc o zamordowaniu Fleischera tłumaczy to faktem, że był zazdrosny o Skibową. Przeczą temu jednak wyniki dochodzeń, które wykazują, że Wowrosch wiedział o tym, że Skibowa utrzymuje stosunki z innymi mężczyznami, jeszcze po za Fleischerem. Moment zazdrości nie wchodzi więc tutaj w rachubę.

Dzisiaj zasiadł morderca na ławie oskarżonych w Wojskowym Sądzie Okręgowym w Krakowie. Na rozprawie Wowrosch zmienił swą dotychczasową taktykę, GDYŻ MILCZY PRZEZ CAŁY CZAS I NIE ODZYWA SIĘ ANI JEDNYM SŁOWEM. Jakkolwiek lekarze - biegli stwierdzili, że jego stan umysłowy nie wykazuje żadnej choroby ani ograniczenia, oskarżony milczy uporczywie przez cały czas przewodu sądowego.

Strajk robotników ziemnych

Dziś rano wybuchł w Krakowie strajk robotników ziemnych, zatrudnionych przy robotach publicznych. Przyczyną zatargu jest system zatrudniania „turnusowego" przeciw któremu robotnicy protestują.

Strajkujący domagają się zmiany systemu pracy, chodzi im bowiem o to, aby uzyskali nastepnie prawa do poboru zasilków, przysługujących bezrobotnym.

Strajk piekarzy trwa

Trwający od dłuższego czasu strajk piekarzy nie został jeszcze zlikwidowany. Jak już donieśliśmy w wydaniu porannym, konferencja w tej sprawie wyznaczona została na poniedziałek.

W nocy na piątek zanotowano kilka incydentów. W jednym miejscu obrzucono kamieniami sąsiedztwo piekarni i wybito szyby w budynku, znajdującym się tuż obok piekarni.

Zwłok topielca nie wyłowiono z Wisły

Jak już dziś rano donieśliśmy, utonął wczoraj wieczorem w czasie kąpieli we Wiśle czeladnik piekarski Stanisław Smuczyński, czeladnik piekarski.

Dochodzenia wykazały, że Smuczyński pracował w piekarni p. Seidnerowej przy ul. Tadeusza Kościuszki. Wczoraj wieczorem kąpał się na Wiśle i w czasie kąpieli utonął. Stwierdzone zostało, że Smuczyński kąpał się w miejscu nie dozwolonym, obok mostu dębnickiego.

Przez cały wieczór wczorajszy jak również dziś przed południem poszukiwano zwłoki topielca. Do tej chwili zwłoki nie zostały jednak odnalezione.

TEATR IM. J. SŁOWACKIEGO:

Piątek: „Wesele Figara".
Sobota: „Dom osaczony".
Niedziela po poł.: „Krowoderskie zuchy", wiecz. „Czerwony kapelusz".

—<>—

REPERTUAR KINOTEATRÓW:

ADRIA: „Dorożkarz Nr. 13" (Sielański, Ćwiklińska, Andrzejewska.
APOLLO: „Parada miłości (Jeanette Mac Donald, Maurice Chevalier).
ATLANTIC: „Buffalo Bill" (Gary Cooper, Jean Artur) i „Walc cesarski" (Paweł Hörbiger).
BAGATELA: „Hrabina Marica" (Szoke Szakall, Ernest Verebes) oraz rewia pt. „Majowe szaleństwa..."
DOM ŻOŁNIERZA: „Sen nocy letniej".
PROMIEŃ: „Zwyciężyły kobiety".
STELLA: „Dzisiejsze czasy" (Charlie Chaplin).
SZTUKA: „Sonata Kreutzerowska" (film niemiecki).
UCIECHA: „Zbuntowana" (Katarzyna Herburn i in.)
WANDA: „Nie ufaj mężczyźnie" (Joan Crowford i in).

Groźny pożar w majątku hr. Potockiego

Wojewódzkie władze policyjne w Krakowie prowadzą dochodzenia w sprawie wielkiego pożaru, jaki wybuchł w majątku hr. Adama Potockiego w Przeciszowie.

W godzinach wieczornych powstał ogień w wielkiej stodole, wypełnionej po brzegi słomą. Do akcji ratunkowej przystąpiła natychmiast miejscowa straż pożarna, jak również straże pożarne z sąsiednich wsi.

Strażacy pracowali energicznie, obawiając się przerzucenia ognia na sąsiednie zabudowania. Dzięki wysiłkom straży ogień nie objął dalszych budynków, a jedynie spłonęła znajdująca się opodal sterta słomy.

Według dotychczasowych obliczeń straty wynoszą kilkanaście tysięcy złotych. Przyczyna pożaru nie została na razie ustalona.

—><—

PRZEGLĄD SPORTOWY

Pod palącym słońcem Hellady walczą dziś lekkoatleci polscy

Trójmecz Polska-Grecja-Czechosłowacja

Na stadionie olimpijskim w Atenach wystąpi dziś lekkoatletyczna reprezentacja Polski. Przeciwnikiem lekkoatletów polskich będą teamy Grecji i Czechosłowacji.

Drużyna polska jest w spotkaniu tym faworytem i dysponuje kilkoma silnymi punktami, będąc równocześnie zespołem wyrównanym, pozbawionym słabych punktów.

Najsilniejszym punktem drużyny polskiej jest oczywiście Kucharski, który jest 100-procentowym faworytem w biegu na 800 i 1500 m. Również Noji w dłuższych dystansach powinien uplasować się na czołowej pozycji. Jak z tego wynika, biegi średnie i dłuższe będą domeną Polaków. Szanse silne posiada Polska w pchnięciu kuli, gdzie jedynie miotacz czeski Douda może zagrozić ich pozycji. Dobrze wypaść powinni również skoczkowie w dal oraz Schneider w skoku o tyczce.

Dokładne wyniki zawodów i omówienie pierwszego dnia podamy w jutrzejszym numerze.

Boje ligowe w pełni

PO PRZERWIE ŚWIĄTECZNEJ DRUŻYNY WRACAJĄ DO MISTRZOSTW.

Okres Zielonych Świąt minął bezpowrotnie, drużyny ligowe wracają obecnie do normalnych spotkań o mistrzostwo. Nadchodząca niedziela przyniesie nam szereg zajmujących spotkań.

Na pierwszy plan wybija się tym razem gród podwawelski, gdzie stoczone będą za jednym zamachem cztery ciekawe spotkania. Cracovia stanie oko w oko z jedenastką Warty poznańskiej, wykazującej poważne inklinacje do zajęcia czołowej pozycji. Czy szybkostrzelny atak białoczerwonych zatrzymany będzie w swym pędzie bramkowym, trudno przypuszczać. Raczej typować należy gospodarzy jako zwycięzców.

Ciężkie zadanie czeka Garbarnię. Jedenastka ta ulokowała się na razie niedaleko końca i ma się zmierzyć z mistrzowskim zespołem Ruchu. Oczywiście, że hajduczanie ruszają do walki jako faworyci, ale ambicja i twardość Garbarni mogą wiele zdziałać. A wówczas Ruch może stracić wiele, Garbarnia ma wiele do zdobycia.

Wreszcie Pogoń lwowska, będąca na szarym końcu gościć będzie u siebie Warszawiankę. Lwowianie zapowiadają odmłodzenie drużyny i mają za sobą sukces z Vienną. Czy wystarczy to jednak do pokonania zespołu Martyny, to okaże najbliższa niedziela.

W żarze i upale afrykańskim rozpoczyna się turniej hokeja na lodzie

Austriacka reprezentacja hokejowa rozpoczęła onegdaj swe tournee afrykańskie. Zespół hokeistów wiedeńskich opuścił Europę, a podróż okrętem potrwa trzy tygodnie.

Po przybyciu do Johannesburga drużyna rozegra na tamtejszym sztucznym torze 8-10 spotkań z afrykańskimi drużynami hokejowymi.

W dniu lipca hokeiści rozpoczną podróż powrotną. W tournee biorą udział zawodnicy: Weiss, Neumeyer, Tatzer, Brandl, Stanek, Schneider, Kirchberger, Novak, Demmer i Winter.

W kwaterach amerykańskich skazańców

Wrażenia i obserwacje sędziego-podróżnika

I.

Niedawno odbył się w sali Izby Przemysłowo Handlowej w Krakowie niezwykle interesujący i — z uwagi na przygotowywany obecnie polski projekt reformy więziennictwa — nader aktualny odczyt p. dr Włodzimierza Sokalskiego, sędziego Sądu Najwyższego, pod tytułem: „W kwaterach amerykańskich skazańców".

Na wstępie referent zastrzegł się, że nie jest żadnym teoretykiem, ani profesorem, ale tylko — jak się wyraził — skromnym sędzią i że zatem nie będzie w jego odczycie żadnych wywodów teoretycznych, lecz jedynie garść wrażeń i obserwacyj z amerykańskich zakładów karnych, jakie prelegent zebrał w ciągu swej podróży po Stanach Zjednoczonych w r. 1935.

Ogólne rysy charakterystyczne amerykańskiego sądownictwa i więziennictwa

Przede wszystkim stwierdza p. sędzia dr Sokalski — opinia powszechna, panująca w Europie o amerykańskich zakładach karnych, często oparta na filmach kryminalnych, jest sprzeczna. Jedni sądzą, iż życie w więzieniach amerykańskich jest bardzo przyjemne, że są tam różne znakomite urządzenia i wygody, — wytwory ostatniej techniki, że jest tam muzyka, orkiestra, zabawy etc., inni zaś widzą w nich same okropności.

W każdym jednak razie nie można absolutnie podzielić zdania, jakoby sądy amerykańskie wydawały zbyt łagodne wyroki. Dowodem surowości wyroków amerykańskich jest chociażby ten fakt, że, gdy sędzia Sokalski w lipcu 1935 r. zwiedził więzienie w Sing-Sing, stwierdził, iż w ciągu pierwszego półrocza 1935 r. wykonano w tymże tylko jednym więzieniu aż... 11 wyroków śmierci, a w jednym tylko stanie wykonano w tym czasie — przeszło 100 wyroków śmierci! Prelegent badał też w danych statystycznych zakładów karnych wysokość kar i doszedł między innymi do takich wyników, że np. niejeden przestępca był skazywany za różne przestępstwa na kary, które w sumie przekraczały 100 lat, a u jednego skazańca suma kar wynosiła aż... 199 lat. Trudno zatem mówić wobec tych kar o zbytniej łagodności sądów amerykańskich. Jeśli zaś pomimo tego mówi się o łagodności sądów w U. S. A., to można ją znaleźć wyłącznie w sądach przysięgłych, ponieważ do zasądzenia oskarżonego potrzebna jest wedle ustawodawstwa amerykańskiego jednomyślność przysięgłych, a jeden tylko sprzeciw już wystarcza, by ocalić oskarżonego od skazania.

Mimo jednak surowości samych wyroków łagodny jest w Stanach Zjednoczonych sposób wykonania kary, ponadto zaś jest możliwe bardzo szeroko w Ameryce stosowane ułaskawienie, a w więzieniach panują humanitarne metody.

Stosunek społeczeństwa amerykańskiego do przestępstwa i jego sprawcy

W Ameryce panuje szkoła socjologiczna w pojmowaniu przestępstwa. Nie w samym przestępcy należy — zdaniem Amerykanina — widzieć przyczynę zbrodni. Przyczyna przestępstwa tkwi w ukształtowaniu społecznym, w warunkach socjologicznych, otaczających sprawcę zbrodni.

Zasadą jest w Ameryce, że nie należy karać przestępcy, a pobyt w zakładzie karnym ma być wyłącznie kuracją, która ma uleczyć zbrodniarza. Naczelnym hasłem penitencjarnym jest tam prewencja, mająca na celu zapobieganie zbrodniom. Dlatego też w niektórych stanach amerykańskich wprowadzona jest już od kilkudziesięciu lat sterylizacja, jako środek przeciwdziałający, względnie zapobiegawczy dla popędów przestępnych.

Znamieniem życia amerykańskiego więźnia jest szeroka swoboda. W amerykańskich zakładach karnych zniesiono zakaz rozmawiania więźniów, zakaz komunikowania się ich ze sobą. Zniesiono izolację więźniów. W zakładach karnych panuje czyste i zdrowe powietrze, z okien rozlega się widok na pachnące pola, łąki i parki; w więzieniu odbywają się często przedstawienia, nawet płatne, więźniowie urządzają popisy sportowe e t. c. Więzienia są często odwiedzane przez ludzi spoza zakładu, przede wszystkim zaś przez różne ekspedycje naukowe, wzgl. towarzystwa dla badań, ich życia, potrzeb, metod więziennictwa etc.

Oto są w ogólnych zarysach cechy więzień amerykańskich. Daje się tutaj poznać na każdym kroku fakt, że społeczeństwo wprost czeka na przestępcę, który wyjdzie z więzienia, że to społeczeństwo nie będzie się od niego separowało, lecz przeciwnie, że przyjmie go z otwartymi ramiony i starać się będzie przyjąć go z powrotem do siebie i zaliczyć znowu w poczet swych wartościowych członków.

Wogóle w Stanach Zjednoczonych, jeśli chodzi o więziennictwo, widać wielką rozrzutność i ogromny rozmach. Ameryka nie żałuje niczego dla rozwoju i reformy więziennictwa. Zakłady penitencjarne stoją tutaj na o wiele wyższym poziomie, aniżeli nawet w Anglii. Tylko w Stanach Zjedn. w więzieniach jest światło elektryczne, czego niema w innych państwach.

Trzy okresy w życiu skazańca

Życie więźnia możnaby podzielić na trzy okresy: Pierwszy okres obejmuje wstąpienie więźnia do zakładu karnego i krótki czas, następujący bezpośrednio po wstąpieniu do więzienia. Drugi okres — to życie w samym zakładzie. Trzeci wreszcie — to opuszczenie więzienia.

Okres pierwszy w życiu skazańca trwa miesiąc. W czasie tym odbywają się różne, niezwykle gruntowne badania skazańca pod względem fizycznym, umysłowym, psychologicznym, socjologicznym. Badania te służą przede wszystkim do tego, by stwierdzić, jak i w jakim zakładzie należy umieścić danego więźnia, ażeby zakład karny był dla niego jak najbardziej dostosowany. Dalszym celem tych badań jest danie więźniowi możliwości odpowiedniej pracy, któraby była dostosowana do jego zdolności, inteligencji, umiejętności i t. d. Wreszcie celem tych badań jest odpowiednie przygotowanie więźnia do życia wśród społeczeństwa po opuszczeniu zakładu, a przede wszystkim do dania mu podstawy do tego, ażeby skazaniec mógł zostać przedterminowo zwolniony.

Badania skazańców

Słynny zakład karny posiada miasto Chicago. Jedna filia zakładu służy specjalnie do badania młodocianych, których przestępstwo sprowadziło do więzienia. W tym to zakładzie pracuje wynalazca przyrządu, zapomocą którego można wydobyć zupełną prawdę od badanej młodzieży. Badanego wstawia się do takiego aparatu, a aparat stwierdza reakcję, choćby najmniej widoczną, jaka powstaje w badanym człowieku, na skutek zadawanych mu pytań, które przeważnie pozostają w związku z popełnioną zbrodnią, albo polegającym np. na przypominaniu pewnych narzędzi zbrodni. Aparat bada m. in. ciśnienie krwi, szybkość obiegu krwi, pocenie się człowieka badanego, czas przerwy pomiędzy zadanym pytaniem a odpowiedzią, czas zastanawiania się badanego nad odpowiedzią i t. d. Aparaty takie używane są także w śledztwie i podobno oddają bardzo doniosłe usługi w dziedzinie odkrywania zbrodni, wzgl. badania oskarżonego. Sądy przysięgłych jednak nie dowierzają działalności takiego aparatu.

Najpierw badania więźniów dokonywano wśród młodzieży. Wobec dodatnich skutków badań dzieci przeprowadza się dzisiaj badania wśród wszystkich wogóle więźniów bez względu na wiek skazańca.

Zakłady karne mają często swoją specjalną klinikę do badania więźniów. Przeważnie jednak sprawa badań skazańców w tych klinikach wygląda w ten sposób, że w każdym stanie jeden tylko zakład karny posiada klinikę; wszystkich zaś więźniów, umieszczonych w którym kolwiek zakładzie karnym, posyła się do takiej kliniki i tutaj bada się ich. Badania kliniczne więźniów są bardzo dokładne. Bada przede wszystkim lekarz-internista, chirurg, psychiatra, psycholog ten ostatni bada zamiłowanie więźniów, ich zdolności, skłonności, inteligencję i t. d.) Badania skazańców przeprowadza też socjolog, który jest specjalnie do tego celu przeznaczonym urzędnikiem więziennym.

Statystyka wykazuje, że w Ameryce istnieją pewne ośrodki, w których gnieżdżą się poprostu centra przestępców; tutaj należą przede wszystkim miasta portowe i ośrodki fabryczne.

Materiały informacyjne

Gdy więzień przybywa do zakładu karnego, prowadzi się — jak już wyżej zaznaczono — badania w przenajróżniejszych kierunkach tak, by wyżej zebrane informacje, dotyczące osoby i życia więźnia były możliwie jak najdokładniejsze. I tak zakład karny przesyła takie formularze z zapytaniem co do danych o osobie przestępcy do biur, urzędów, fabryk, szkół itd., w których skazaniec pracował, względnie do których uczęszczał. Przesyła się te zapytania do duszpasterza, pod którego pieczą był okręg, skąd skazaniec pochodzi. Formularze, rozsyłane przez zakłady karne są bardzo dokładne, zawierają dużą ilość rubryk, mających gruntownie wyświetlić charakter więźnia, warunki jego życia, jego przeszłość i inne dane. Zakłady karne zbierają tak skrupulatnie wszelkie te informacje i tak dalece nie szczędzą ani trudów, ani czasu na te badania, że wspomniane druki zawierają nawet uwagę, iż, jeśli brak miejsca na odpowiedź we formularzu, należy odpowiednie dane napisać na dodatkowym arkuszu, a kwestionariusz zapewnia: „Mamy czas. Przeczytamy wszystko. Piszcie dokładnie!"

Jaki będzie z niego człowiek

W czasie odbywania kary przeprowadza się klasyfikację więźniów i odpowiednie ich rozmieszczenie w różnych zakładach karnych. Wtedy odbywają się badania prowadzone przez kryminologów, a mające stwierdzić, czy metody więziennictwa i sposób wykonania kary są skuteczne i dodatnie w związku z celem, któremu mają służyć.

Każdy więzień ma swe akta, do których wpisuje się wszelkie dane, do jego osoby się odnoszące, jak również uwagi co do skuteczności wykonania kary. Potem liczni słynni kryminologowie interesują się życiem skazańców na podstawie ich akt zakładowych, oraz materiałów informacyjnych i obserwacyjnych. Im więcej badania te, przeprowazone na podstawie akt zakładowych skazańca, wykazują w przestępcy cechy dodatnie, ujęte w pewne grupy (jak pracowitość, zdolności, pilność, uczciwi rodzice, nienaganna przeszłość etc.), tym większe istnieje prawdopodobieństwo, iż z tego przestępcy będzie po wyjściu z zakładu karnego porządny i uczciwy człowiek, cenny dla społeczeństwa. Na podstawie zatem akt zakładowych skazańca można z pewnym prawdopodobieństwem podać niejako prognozę co do przyszłości danego skazańca, można przewidzieć, jaki będzie z niego człowiek: Czy wyjdzie po odbyciu kary poprawiony, czy — nie?

Dr Sz. L.

DROBIAZGI POLITYCZNE

Jeśli wy chronić będziecie Benesza, my chronić będziemy Hitlera

Senator Frank z partii henleinowskiej wniósł w senacie czeskosłowackim interpelację, zwracającą uwagę, że niemiecki organ czeskiej partii komunistycznej „Die Rote Fahne" stale obraża kanclerza Hitlera. W odpowiedzi na interpelację zabrał głos czeski minister sprawiedliwości dr. Derer, oświadczając, że styl prasy komunistycznej w stosunku do Hitlera jest bezsprzecznie obrażający. Rząd czeskosłowacki wyraża z tego powodu swe ubolewanie. Wedle istniejących przepisów prawnych prokuratura nie może jednak wkroczyć, bo obraza kanclerza Rzeszy nie jest przekroczeniem publicznym i karane może być tylko na wniosek rządu Trzeciej Rzeszy, alboteż ambasadora niemieckiego w Pradze. Czeska głowa państwa nie korzysta jednak w Niemczech z żadnej ochrony prawnej, a więc nie istnieje zasada wzajemności, która może być tylko podstawą do wytaczania procesów Zresztą ani i rząd Trzeciej Rzeszy ani jego dyplomatyczny przedstawiciel w Pradze nie wystąpili z wnioskiem o wytoczenie procesu w obronie czci kanclerza Hitlera.

Kolej bagdadzka przed ukończeniem

Między Turcją a Irakiem doszła do skutku umowa, w myśl której Turcja zbudować ma linię kolejową Diabekr - Dżire, Irak zaś ma tę linię kolejową poprowadzić dalej od granicy tureckiej aż do Bagdadu.

W ten sposób powstać ma kolej, która kiedyś była niezwykle ważnym pociągnięciem politycznym. Budowę kolei bagdadzkiej zaczęło w roku 1903 konsorcjum, w którym Bank Niemiecki miał wpływ decydujący. Kolej bagdadzka była snem cesarza Wilhelma II. i miała być zrealizowaniem jego hasła sformułowanego w słowach „Drang nach Osten". Kolej bagdadzka miała połączyć bezpośrednio Berlin z Bagdadem i uchodziła za symbol imperializmu niemieckiego. Gdy wojna wybuchła, kolej ta nie była jeszcze ukończona. Po zawarciu pokoju objęła jej administrację naprzód Francja, a w roku 1921 Turcja.

Stalin skazuje własną matkę na wygnanie!

Moskwa. 21. 5. (W) Kolosalne wrażenie wywołał ostatnio fakt brutalnego obchodzenia się Stalina z własną swoją matką, 78-letnią staruszką. Stalin był, jak wiadomo, w młodych latach studentem teologii, został jednak z seminarium wydalony, ku wielkiemu zmartwieniu jego matki, osoby bardzo religijnej.

Kiedy po latach Stalin został wielkorządcą Rosji, matka jego, choć z bólem serca, musiała zrezygnować z praktyk religijnych i z uczęszczania do cerkwii prawosławnej. Uczynić to musiała dla swojego syna. Jednakże ostatnio, w czasie świąt wielkanocnych, matka Stalina zjawiła się nagle w cerkwi. Powstało ogólne zamieszanie, wszyscy bowiem byli pewni, że wraz z nią wkracza upiorny cień GPU i jakby na rozkaz natychmiast opuścili cerkiew, w której matka Stalina pozostała sama.

Ten nagły alarm był jednak zupełnie bezpodstawny. Przeciwnie staruszka, która jest już bliską śmierci, nie mogła po prostu oprzeć się potrzebie, by raz jeszcze, wspólnie z innymi wierzącymi, spędzić dzień święta na modłach. Chciała pomodlić się do Boga o pomyślność dla Rosji i... dla swojego syna Gdy wychodziła z cerkwi dyskretnie jeszcze rzuciła jałmużnę do puszki, w wysokości tysiąca rubli, na służbę Bożą.

Jednakże to wydarzenie nie pozostało bez konsekwencyj. Wywołało ono bowiem w całej Rosji olbrzymie wrażenie a GPU w Tyflisie, gdzie matka Stalina mieszka, porozumiała się bezwłocznie z Kremlem. Odpowiedź Stalina wysłana została natychmiast przez specjalnego kuriera. Stalin nie okazał żadnego zrozumienia dla pobożności matki staruszki, lecz przeciwnie, dał rozkaz *natychmiastowego* wygnania swojej matki z Tyflisu za to, że służyła tak gorszącym przykładem...

„Los mój jest w ręku gen. Franco" -- oświadcza b. następca tronu hiszpańskiego i -- żeni się powtórnie...

Havana, 21. 5. (R) Były król Alfons hiszpański zawiadomił swego syna hr. Savadonga, iż cofa mu subwencję miesięczną w wysokości 500 dol. w razie jego powtórnego małżeństwa. W związku z tym hr. Cavadonga oświadczył, iż poślubi pannę Marię Rocafort bez względu na to, jakie stanowisko zajmie jego ojciec. Mój los jest w ręku generała Franco — oświadczył dalej hr. Cavadonga i stanowisko rodziny wobec mego małżeństwa nie ma najmniejszego znaczenia.

Jeszcze raz odżegnują się od porozumienia

Walencja 21. 5. (R) Premier Negrin oświadczył wczoraj dziennikarzom zagranicznym, że wszelkie propozycje pośrednictwa w konflikcie hispańskim zostaną odrzucone

HENRI DELIER

PRZY OKNIE

Lucjan kończył właśnie drugą filiżankę herbaty, gdy do drzwi mieszkania zadzwonił listonosz. Ten krótki, urywany dzwonek był mu dobrze znany. Wiedział napewno, że na chwilę wejdzie do pokoju służąca Odeta i poda gazety oraz listy.

Lucjan począł się niecierpliwić. Dzwonek powtórzył się. Nie było wątpliwości, że służąca gdzies poszła i trzeba było samemu załatwić pocztę.

Gilberta już chciała iść do przedpokoju załatwić sprawę z listonoszem, gdy Lucjan poderwał się z krzesła.

— Pozwól, kochanie, że ja pójdę.

Za chwilę wrócił z pliką gazet pod pachą. Był bardzo chmurny. W ręku trzymał list od żony.

— Gilberto, jest jakiś list do ciebie. Przeczytaj — „Do rąk własnych pani itd."

Gilberta wzięła list do ręki. Rozerwała kopertę i zaczęła czytać. Na chwilę przerwała odcyfrowywania dość nieczytelnego listu, by popatrzeć na męża. Lucjan przyglądał się jej również.

— Czy niemoglibyśmy przeczytać tego listu wspólnie? — zapytał znienacka.

— Och, cóż znowu? — odpowiedziała Gilberta.

— Dlaczego? Czy masz jakieś tajemnice?

Gilberta popatrzyła w jego zaniepokojone oczy.

— Tajemnice? Też pomysł!

— Więc co to za list?

— To? Ależ to najzwyklejszy rachunek! Mój drogi. Dlaczego się tak zaniepokoiłeś?

Lucjan spuścił oczy. Teraz już był spokojny. Gdyby to był jakiś anonim, wówczas Gilberta nie zachowywałaby takiego kamiennego spokoju.

Dokończył obiadu, przejrzał pisma i wyszedł do biura.

Po jego odejściu Gilberta natychmiast poczęła się ubierać do wyjścia. Włożyła futro. Ale mimo to owionęło ją chłodne, przenikliwe powietrze listopadowe. Zaczęła szczękać zębami.

Za kilka minut była już na ulicy wskazanej w liście. Ale, niestety, wszystko jej szło na opak. Sądziła przecież, że znajdzie tu jakąś zaciszną, przytulną kawiarenkę, że usiądzie przy oknie, przesłoniętym firanką i będzie obserwowała dom, oznaczony numerem szóstym w liście. Potem przyjdzie on, Lucjan, i wysiądzie z auta. Następnie pójdzie na górę, do niej, a ona będzie patrzyła na wszystko. A w końcu ona, Gilberta pójdzie za nim i skończy się to wszystko raz na zawsze.

Ale niestety, na całej cichej, luksusowej uliczce nie było ani jednej kawiarni, skąd możnaby swobodnie patrzeć na wskazany dom.

Gilberta chodziła niespokojnie. Nagle wpadła na pomysł: Oto pójdzie do stróżki domu, położonego na przeciwko. Zapłaci jej i usiądzie w jakim oknie i stamtąd będzie obserwowała.

Konsjerżka przyjęła ją z namaszczeniem. Nie zadawała zbytecznych pytań — tylko usłyszawszy o co chodzi, pokiwała w zrozumieniu głową:

— Proszę pani, w naszym domu, na pierwszym piętrze mieszka pewna starsza pani. O tej porze zwykle ta pani jest w mieście, w teatrze, lub u znajomych. Wraca wieczorem. Do teatru chodzi na przedstawienia tylko popołudniowe, ponieważ obawia się powrotu późną nocą. Jej służąca będzie mogła odstąpić pani na pół godziny balkonu.

Za kwadrans już Gilberta stała na balkonie i spoglądała z niepokojem w cichą ulicę. Zęby jej szczękały z zimna. Dreszcze przechodziły po plecach. Po kilku minutach daremnego oczekiwania dojrzała nagle w ulicy samochód. To było ich auto. Samochód zbliżył się wolno do domu oznaczonego w liście. Gilberta widziała jak najwyraźniej, że otwierają się drzwi auta. Potem wysunęło się z wnętrza coś w rodzaju dużego bukietu, owiniętego w biały papier, następnie jedna noga, potem druga. I w chwili, gdy miała zobaczyć Lucjana, poczuła nagle, że ktoś położył jej rękę na ramieniu.

— Co panit u robi? — zapytał słaby głos.

Gilberta odwróciła się. Stała przed nią właścicielka mieszkania.

— Proszę ze mną do pokoju — odezwały się ciche słowa. — Na dworze tak zimno. Przeziębi się pani.

Gilberta weszła do wnętrza pokoju. Usiadła machinalnie na wskazanym fotelu. Służąca zasunęła firanki i podała herbatę.

— Wiem wszystko — odpowiedziała starsza pani. — Służba zdążyła mnie objaśnić o pani cierpieniu. Ale teraz już pani jest ciepło, nie szczęka pani zębami — niech pani wypije herbatę, będzie pani się czuła zupełnie dobrze.

— Ale tam — porwała się Gilberta. — Ja muszę widzieć!

Starsza pani posadziła ją z powrotem na fotelu:

— Widzieć? I pocóż, dziecko? Jest wiele rzeczy, których staramy się unikać. Naprzykład ból. Czy chciałabyś nabawić się choroby umyślnie? Choroby i cierpienia? A zazdrość jest także chorobą. Tak, najlepiej żyć samemu dla siebie, zasunąć firanki okna i zasiąść przy ciepłym kominku. Poza tym czytać. Tak, wiele czytać, jak ja to robię! Przeżywam tysiące istnień ludzkich. Przeżywam tysiące przygód — a wszystko mogę odrzucić od siebie, gdy mnie znudzi. I życie jest książką, która może znudzić. Ale trzeba je umieć czytać. Poza tym trzeba oszczędzać serce. Nie wiemy wielu rzeczy, które chcielibyśmy wiedzieć. Naprzykład umrzemy i co nas jutro czeka? A mimo to staramy się nie myśleć o tym, nie czekać, nie trwożyć!

Gdy Gilberta wróciła do domu — mąż oczekiwał już na nią. Zapytał jeszcze raz o list. Gilberta uśmiechnęła się.

— To przecież był tylko rachunek — odparła. — Rachunek, którego i tak nie zapłacę!...

To powiedziawszy zasiadła przy ciemnym kominku i pogrążyła się w lekturze.

NA SZEROKIM SWIECIE

10 lat temu Lindbergh zwyciężył Atlantyk

Tryumf „latającego wariata". — Jak Paryż witał zwycięzcę

21 maja 1927...

10 lat mija od owego dnia, gdy Karol Lindbergh przeleciał po raz pierwszy Atlantyk. A kto przeżył ów dzień w Paryżu — ów dzień niezwykły, który zaczął się pod znakiem niewiary i ironii, a skończył się w nieopisanym entuzjaźmie, nie zapomni go nigdy.

Ranne wydania pism paryskich przyniosły krótką wiadomość z Ameryki:

„Karol Lindbergh rozpoczął swój lot Nowy York — Paryż".

To było wszystko.

Ludzie potrząsnęli głową z niedowierzaniem i zdziwieniem. Zresztą trudno było, aby się entuzjazmowali, aby wierzyli. Zaledwie kilkanaście dni wcześniej Nungesser i Coli wyruszyli na podbój Atlantyku.

Ogarnął ich wówczas entuzjazm i nadzieja. Paryż przeżył długie godziny niesłychanego naprężenia. Przeżył także chwile niesłychanej radości, gdy lotem błyskawicy rozeszła się wieść, że sławni lotnicy francuscy dolecieli do celu, że już ich widziano nad Bostonem, że już wita ich entuzjastycznie tłum amerykański.

Nikt wówczas nie wątpił. Ukazywały się nadzwyczajne wydania gazet, o które walczono w tłoku i ścisku. Tysiące pozostawały na ulicach, nad miastem krążyły samoloty wielkimi zgłoskami na ciemnym niebie wypisując radosną wieść. Rozbrzmiały salwy armatnie. Zadrgały druty telegraficzne, niosąc powinszowania tym, których uważano za zwycięzców.

Ale o północy przyszła wiadomość, że samolot wcale nie przyleciał. Poprzednia wieść była fałszywa. Prysł entuzjazm, ustępując miejsca trwodze i niepewności.

Mijały godziny, później dni trwogi niepokoju. 18 krążowników amerykańskich wyruszyło na poszukiwanie. Ale nigdzie nie natrafiono na najmniejszy ślad...

Po tych przeżyciach trudno było paryżanom poważnie traktować lot Lindbergha. A przy tym nie wiele o nim wiedziano. Mówiono wówczas o Chamberlinie, który przygotowywał się do lotu, o Byrdzie...

A tu nagle — jakiś Lindbergh. Ten lotnik, który po dwóch dniach stał się najpopularniejszym człowiekiem po obu stronach Atlantyku, w Europie był zupełnie nieznany. Dopiero w dniu jego odlotu dowiedziano się, że był kapitanem po wojnie, następnie pilotem na jednej z linii amerykańskich. Publiczna zbiórka w mieście St. Louis pozwoliła mu na zakupienie jednopłatowca, który nazwał „Spirit of St. Louis". Po cichu, bez reklamy przygotowywał się do lotu. Dla treningu odbył lot z San Diego — Nowy Jork, przebywając w dwu etapach 4.200 km i nie śpiąc w ciągu 48 godzin. Gdy wreszcie komunikat meteorologiczny jest zachęcający, wsiada do swego aeroplanu, o którym mówi: „Oto moja cela, skazanego na śmierć. Jeśli przyjadę do Paryża, to oznacza to ułaskawienie".

Od dawna Lindbergh marzył o Paryżu, który znał tylko z kart pocztowych.

Nikt nie wierzył w powodzenie jego lotu. Nikt poza jego matką, skromną nauczycielką w jednym z miast amerykańskich. Ona jedna powiedziała: „— Bez wahania poleciałabym z Karolem. Przyjaciele śmiali się z niego. Nazwali go „latającym wariatem".

Lindbergh leciał cały dzień i całą noc, i znów cały dzień. Na pokładzie swego samolotu nie miał radia, nie miał żadnych specjalnych instrumentów, poza zwykłą busolą...

A w Paryżu dzień mijał, jak każdy inny. Nikt bodaj nie myślał o „latającym wariacie". Dopiero pod wieczór zjawiła się w pismach wiadomość, po niedawnych doświadczeniach licznymi opatrzona pytajnikami, że go widziano o 200 km od brzegów Irlandii. Wciąż jeszcze wątpiono. Bez wielkiego przekonania, ot poprostu z ciekawości, wyległ wieczorem tłum paryski na bulwary, na bajecznie, jak zwykle iluminowany plac Opery, aby ze świetlnej gazety na dachu jednego z domów dowiedzieć się prawdy.

Przychodziły depesze. O godz. 7 przeleciał nad Irlandią, o 8.30 minął Cherbourg. Więc naprawdę?!

Teraz już nie można było wątpić.

I zaczął się fantastyczny pęd mas ludzkich ku lotnisku Bourget. Ile było samochodów, taksówek, autokarów, autobusów, — wszystkie ruszyły na lotnisko.

Cały Paryż chciał być przy tym. Choć każdy wiedział, że nic nie zobaczy, to jednak ogólny entuzjazm porywał. Paryżanie czuli, że to dzień historyczny. Więc potoczyły się ku lotnisku samochody Paryża. Było ich tysiące, dziesiątki tysięcy. Pięcioma rzędami sunęły po jezdni, ale i to było za mało. Okupowały więc i chodniki. Byle prędzej, byle dojechać.

Naprożno! Podczas, gdy Lindbergh ustanawiał swe rekordy, paryżanie ustanawiali swoje własne: rekordy powolności, 100 m w pół godziny! Ale nikt nie złorzeczył, nikt nie klął. W ogólnej radości wszystko przyjmowano pogodnie i wesoło. Ktoś zatrąbił. Po chwili 1.000 samochodów trąbiło. Taką piekielną muzyką witał Paryż zwycięzcę. Bo oto z ust do ust powtarzana nadeszła wiadomość: Przyleciał!

Co się tymczasem działo na lotnisku? Olbrzymie reflektory szukały na niebie „ducha St. Louis". Wreszcie ukazał się. O godz. 10 min. 22 spoczął na trawie paryskiego lotniska. Atlantyk był pokonany. Niesłychany entuzjazm ogarnął tłum. Krzyczano, ściskano się. Dźwięki Marsylianki zlewały się z dźwiękami hymnu amerykańskiego. Lindbergh — oszołomiony, nie przygotowany na takie przyjęcie, wyczerpany podróżą, porwany został w górę. To była najniebezpieczniejsza chwila całej wyprawy — opowiadał później.

Kilku lotników francuskich wyratowało go z rąk rozentuzjazmowanego tłumu. Otoczono opieką aparat, już mocno nadwerężony, gdyż ludzie chcieli mieć choć strzęp na pamiątkę. Jakiś zbieracz osobliwości historycznych wtargnął nawet do środka i zdobył wśród prowiantów bułkę, która wraz z Lindberghiem pierwsza przeleciała Atlantyk...

Tego dnia Paryż długo czuwał. Tłumy na ulicach nie chciały się rozejść. Wiwatom, okrzykom, nie było końca. Każdy chciał przedłużyć ten dzień historyczny, dzień jednego z największych w dziejach triumfu człowieka, jego energii, odwagi i poświęcenia nad siłami natury.

Ach te podwiązki!... Kłopoty dziennikarza angielskiego

Koronacja — na wesoło

Wśród wiernopoddańczych sprawozdań z koronacji króla Jerzego, zamieszczanych w prasie angielskiej, pojawiło się również kilka dowcipnych felietonów, odzwierciadlających przygody i tragikomiczne przeżycia uczestników narodowej uroczystości.

Znany z ciętego dowcipu felietonista „Daily Expressu", wicehrabia Castlerosse, w następujący sposób opisuje uroczystości koronacyjne. Był on jednym z czterech dziennikarzy, którym pozwolono zająć miejsca w przybudówce westminsterskiego opactwa, gdzie król i królowa zjawili się na krótko przed koronacją. Mógł więc przyjrzec się im z odległości pięciu yardów, podczas gdy inni dziennikarze siedzeli na „jaskółce" w podniebnej loży, skąd widać było tylko kolorowe mrowisko ludzkie w głównej nawie.

— Nawet mi przez myśl nie przeszło — pisze felietonista „Daily Expressu" — żeby reporter miał kiedykolwiek przebierać się w jakiś niezwykły strój, skoro może mu na każdą okazję wystarczyć smoking, albo w ostateczności frak. Niestety władze zażądały od osób, posiadających karty wstępu do nowej przybudówki westminsterskiego opactwa, aby wystąpiły w strojach wieczorowych, mężczyznom zaś kazano włożyć krótkie spodenki i czarne pończochy.

Okrutne to rozporządzenie sprawiło mi przykrość, tym bardziej, że bałem się, iż ludziska wezmą mnie za lokaja i zaczną dawać napiwki.

Wprawdzie miałbym prawo ubrać się w aksamitny kostium dworski, lecz zdaję sobie sprawę, że w fantastycznych strojach wyglądam groteskowo. Zważywszy, iż jestem drobny i małego wzrostu, naraziłbym się na to, iż zajęłaby się mną któraś z energicznych dam i wywiozła w wózku dziecinnym w bezpieczne miejsce.

Najwięcej kłopotu sprawiły mi pończochy, które wymagają podwiązek. Kobiety dają sobie jakoś radę z podwiązkami, ale w tej dziedzinie istnieje widoczna różnica między kobietą a mężczyzną. Ilekroć zmuszony jestem włożyć podwiązki. to albo mi się wpijają w ciało, albo rozciągają się niespodziewanie, a wówczas cudne jedwabne pończochy sprawiają wrażenie harmonijki.

Owego dnia była śliczna pogoda, zwłaszcza południowa strona nieba sprawiała radość oczom. Skoro jednak pochód ruszył, zatonęliśmy w gęstej mgle, we mgle gęstej i ciężkiej, jak rozum współczesnych finansistów. Mgła zasnuła Londyn ciemnym welonem, sięgając aż do Wimbledonu. Potem rozprószyła się, prawdopodobnie na rozkaz najwyższych czynników.

Dziwnym trafem dostałem się do sławetnej przybudówki bez żadnych przeszkód. W sferach rządowych uważa się dziennikarzy za wrogów. Wpycha się ich do kątów, zatyka się nimi dziury. Ale tym razem traktowano nas wyjątkowo uprzejmie i łagodnie.

Wnętrze przybudówki jest trochę większe niż sportowe boisko. Zamiast sportowców było tam pełno anglikańskich biskupów. Zaraz ich rozpoznałem i odczułem coś w rodzaju współczucia, gdyż i oni musieli ubrać się w fantastyczne stroje, które trochę rażą w świetle poranku. Nasi duchowni ubierają się na wielkie okazje w czerwone nocne koszule. To im nadaje wygląd majestatyczny, lecz majestat łączy się dobrodusznością cioci-babci w czerwonym szlafroku.

W pewnej chwili kazano nam zrobić miejsce dla dam dworu królowej. Uczyniliśmy to ochoczo gdyż owe damy dworu były prześliczne. Pod ścianami stali gwardziści królewscy o ponurych twarzach i wzroście wielkoludów. Po środku pełno było paziów w barwach ich własnych rodów. Urocze chłopaczki w barwnych aksamitnych i atlasowych kostiumach, w białych pończochach, ze szpadami u boku. Widzę znajome twarze inwalidów wojennych. Wojskowy, który podskakuje na protezie — to słynny kapitan Fitzalan Howard, siwa pani, obwieszczona orderami — to Nancy Astor — rycerz w spódnicy, która podczas wielkiej wojny odniosła szereg ciężkich ran. Dzielna dama zatrzymała się u bufetu i wychyliła puchar piwa, ale powiedziała, że jest obrzydliwe, co niezmiernie wzburzyło sąsiada — pewnego lorda, który gdyby nie piwo (beer), nie byłby dziś parem (peer).

Wydawca: Za spółkę Wyd. „Nowy Dziennik": Zygmunt Hochwald. — Redaktor odpowiedzialny: Dr. Mojżesz Kaufer.
Nowa Drukarnia Dziennikowa, Kraków, Orzeszkowej 7, — pod zarządem Maksymiliana Feldmana